N^er 24. Ćwierćrocze od 1^go Kwietnia do 1^go Lipca. 1863.

Prenumerata wynosi:

ROK III.

NIEWIASTA.

w księgarniach Krakowskich

Bez mód:

Rocznie	. 6 zł.	— c.	w. a.
Półrocznie	. 3 »	— »	» »
Kwartalnie	. 1 »	50 »	» »
Miesięcznie	.— »	50 »	» »

Z Modami paryskiemi.

Rocznie	. . 10 zł.	20 c.	w. a.
Półrocznie.	5 »	10 »	» »
Kwartalnie.	2 »	55 »	» »
Miesięcznie	— »	85 »	» »

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową

Bez mód:

Rocznie	. . 7 zł.	20 c.	w. a.
Półrocznie	. 3 »	60 »	« »
Kwartalnie	. 1 »	80 »	» »

Z modami paryskiemi:

Rocznie	. . 11 zł.	40 c.	w. a.
Półrocznie	. 5 »	70 »	» »
Kwartalnie	. 2 »	85 »	» »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

WYCHOWANIE MORALNE.

—————

(List ks. Wojciecha z Medyki).

(Ciąg dalszy.)

Jak bożek Apollo, siedzący na ognistym wózku, popędza dwa rącze pegazy i jedzie od wschodu ku zachodowi po niebieskim błękicie: tak nasza wola, usiadłszy na dwu skrzydełkach duszy, goni myśl i serce naprzód i zwiedza okolice wszechświata.

Ależ drogi, po których myśl i serce szybuje, są niezmierzone, bezdenne — a okolice, kędy te drogi wiodą, są tajemniczą osłoną powleczone, są albo górami niedostępnemi, albo dolinami bezdennemi poprzerzynane; a nasi wędrownicy i biegūny t. j. myśl i serce, są zanadto ciekawi, aby wszędzie zaglądnąć, wszystkiego pokosztować, wszystkiego dochodzić i wszystkiego zażyć: rwą się nieraz na niedostępne wyżyny, pragną zstąpić do bezdennych dolin, łakną roskoszy większych, niż pogańscy bożkowie na Olimpie używali; chcą nieraz jak tytani pokłaść góry na góry i ztamtąd przekroczyć do środka niebios, albo pełni dumy i wyniosłości jako owe anioły, chcą się zrównać samemu Bogu. Każdy wie to, czem jest potęga myśli i serca! Ależ Ojciec niebieski okazał miłość swoją dla tych dziatek, wolno bujających. Tak na początku, jak w środku drogi, kędy myśl i serce biegną i we wszystkich kącikach i zaułkach, kędy tylko jedno piórko ich skrzydełek muska się i otrze, postawił mentora strasznego, podobnego do stookiego pogańskiego Argusa, który zawsze i wszędzie przestrzega te lotne dziatki Boże, wskazuje, kędy bezpieczno a kędy niebezpieczno szybować, co można, a czego nie można kosztować; a gdy głosu jego słuchają, to im daje ojcowski pocałunek i nagrodę, a gdy nie słuchają, to im grozi, karci i cicho ukarze. Tym mentorem bożym jest sumienie nasze! jest to sędzia sprawiedliwy, jest to głos cichutki i ojcowski samego Boga.

Ten głos tajemniczy czuwa, jak stróż ewanieliczny, nad każdem drgnieniem serca i wyskokiem myśli, a.. jako nieomylny i świadomy wszystkich krytyk, pilnuje ruchów myśli i rwań serca, i ochrania tych braci Syamskich od upadków i złamania karków. Sumienie robi nas prawdziwie moralnymi, t. j. godnymi kary lub nagrody za nasze poloty, boć ono i poucza i przestrzega, gdy zas wolność woli daje nam możliwość moralności, czyli nadaje nam ruch swobodny. Bez sumienia bylibyśmy doskonalszemi zwierzętami; ale nie ludźmi na ziemi! To też, gdzie sumienie spi i nie było od ludzi obudzone sposobami Bożemi, tam martwota duszy, albo zdziczałość większa niż u zwierząt; gdzie ono skrzywione, oślepione i nie po ludzku obudzone, tam krzywy polot myśli i serca, tam takie i życie duchowe. Gdzie zaś obudzone i wyrobione gwoli Bożej myśli, tam moralność płynie życiodajnemi rzekami, tam polot myśli i serca ujęty w prasę rozumu prawdziwego, tam żywot duchowy jasny i prosty, jak tęcza niebieska.

Sumienia nie daje nam wychowanie, boć dawcą jego jest sam Bóg – ono jest tak stare, jak stary ród człowieczy, ono żyje tak w piersi Hottentota, jak Eskimosa, tak Samojeda jak Moskala, tak dziecka jak matki i ojca i t. d.; tylko życie jego i działalność jest różną u ludzi podług złego lub dobrego, prawdziwego lub fałszywego wychowania. Otóż moralne wychowanie prawdziwe pamięta o sumieniu, boć rozwinięta głowa i rozparte serce bez sumienia - stróża, zrobi z człowieka wybitnego łotra i wyzdańca na wszystkie bezdroża. Głowa zasobna i-bogata w pomysły wszelkie, głowa z wiadomościami ogromnemi a bez sumienia-stróża i krytyka, wydała cały szereg oszustów na polu religijnem i politycznem.

Serce zaś, rozbujałe prądami czucia i rozpalone płomieniami pragnienia a bez sumienia-stróża przy boku swoim, wydało na świat cały szereg babilońskich pieszczochów, fenickich Sybarytów i rzymskich Heliogabalów . . . . A zaś głowa i serce wykształcone i zaopatrzone w sumienia Bożego kodeks, i z tym posagiem puszczone w daleki Boży świat, wydały ludzi,

tak mężów jak niewiasty, którzy są gwiazdami wytycznemi na polu moralności świętej, którzy są wzorami dla pokoleń następnych. Głowa i serce z sumieniem skrzywionem wydadzą ci Filipów II. Hiszpańskich, którzy w zaślepieniu religijnem wymordują krocie innowierców, lub wydadzą ci zdobywców takich, jakiemi byli ci osławieni żeglarze do nowego świata, którzy krocie Indyanów popalili na stosie lub wymordowali; albo wydadzą ci na świat takich Torkwemadów i Cisnerozów, osławionych inkwizytorów, którzy tysiące podejrzanych o wiarę codziennie palili lub morzyli głodem. Głowa, serce, wola i sumienie, to czwórka niepodzielna w wychowaniu prawdziwie ludzkiem, moralnem. One są jakby dzieci jednego ojca i rodniutkie siostry i bracia między sobą; nie wolno też żadnego krzywdzić ani upośledzać w wychowaniu i czuwaniu nad ich życiem i wzrostem. Choćby głowa nie była dostatecznie bogatą w zasoby wiedzy, choćby i wola nie była sprężystą, ale niechaj będzie serce nieznarowione a sumienie jędrne, moralność nie zaginie. Dowodem tego massy ludu! Tylko tam skonała moralność, gdzie serce zdziczało — gdzie sumienie liche. Można też twierdzić, że głównemi filarami moralności są serce i sumienie, czyste i jędrne. Z tej poczwórnej krynicy wypływa cały ustrój żywota, t. j. charakter osobisty. Jakie źródło, taka i woda i potoku brzegi razem z korytem; jaka myśl, serce, wola i sumienie, takie całe życie nasze tak wewnętrzne jak zewnętrzne, taki nasz charakter. Charakter, to kwiat i owoc życia! Złe drzewo rodzi zły owoc — dobre, dobry. Człowiek osobliwie lichego serca i sumienia, nie może mieć dobrego i pięknego charakteru. Człowiek zaś z pięknem sercem i jędrnem sumieniem, choćby mu brakło wiedzy i woli tęgiej, może mieć charakter dobry i piękny. Gdzie się łączy ta czwórka w jednolitą całość, i splata się w kłąbek zwiazły t. j. kto pozyskał rozum, serce, dzielność woli i sumienia, ten ma szczytny, dzielny charakter. Charakter może być pięknym i dobrym, chociażby nie był dzielnym — dzielny charakter, to jest czynny żywot, może być najgorszym, najpodlejszym i t. d. jak mamy tego dowody dzienne.

Otóż matki! uważajcie na głowę, serce, wolę i sumienie dziatek, a jeśli się lenicie obrabiać głowy i wole dziatek, to przynajmniej pielęgnujcie serce i sumienie ich, a będą wasze dzieci moralne i z dobrym charakterem, t. j. będą bierne i nikomu nic złego nie zrobią, ani mu zaszkodzą. Ta bierność dziatek jest ważną rzeczą w moralności! Kto nie robi nic złego, ten stoi już na połowie większej drogi do moralności. A jeśli chcecie mieć dziatki z pięknym i dzielnym charakterem, to obrabiajcie oprócz serca i sumienia, także i głowę i wolę, a będą z nich bohatyrowie moralni, czy to z piórem, czy z orężem w ręku. Z mowy poznacie bogactwo głowy; wszystko jedno, czy słowa płyną mową, czy idą na papier dla użytku — z mowy poznacie i serca skarby, bo słowa są, jakby listkami odpadającemi z drzewa wiedzy, są jakby iskrami owych płomieni, jakie gorzą w sercu; z oczu odgadniecie duszę cudzą, z ułożenia i ogłady odgadniecie staranność wychowania ciała; ale prawdziwego charakteru nie odgadniecie jeszcze na tem polu, choćbyście były i żonami Salomonów — charakter w pełni poznać możecie z czynów. Jeden czyn nie stanowi dowodu charakteru, boć zły może coś dobrego zrobić, jak i dobremu przyda się upaść; ale ciągłość czynów t. j. całe prowadzenie się tak prywatne jak publiczne, cały i zupełny żywot w domu i poza domem daje świadectwo charakterowi człowieka. — Jak miło widzieć drzewo zielone z kwiatem i owocami, jak miło wejść do kościoła, który z wierzchu i wewnątrz ozdobny, odznacza się przytem całą prostotą; jak miła wam ta książeczka, co się zaleca treścią, zewnętrzną oprawą i t. d. — tak miłe robi wrażenie to dziecko, którego cały układ powierzchowny zgadza się z jego wewnętrzną treścią, którego drobne czyny zapowiadają w niem coś dzielnego na polu myśli i serca, i świadczą o przyszłym charakterze. Dziecko małe nie ma właściwie charakteru — jego ruchy są mimowolne; albo płyną z posłuszeństwa dla starszych, w niem się budzi wszystko do życia przyszłego — dziecko, to rzucony od mistrza na płótno pierwszy ciemny szkic, z którego ma być później obraz — będzie obraz taki, jaki malarz utworzy; będzie arcydzieło, jeżeli matka i nauczyciele będą Michałem aniołem, Rafaelem i t. d. a będzie bohomazem, jeśli matka i nauczyciele zabazgrają te pierwsze linijki, rzucone od Boga na przyszły obraz człowieka! A choć dziecko nie ma wybitnego charakteru, boć u niego myśl, serce, wola i sumienie są rodzaju nijakiego, jak też i ono całe należy nawet gramatykalnie do tego rodzaju: to zawsze pierwsze jego lata przy matce, są bardzo ważne co do charakteru jego na przyszłość. Na nasz wiek starości, składa się dzieciństwo, młodość i wiek męzki; takimi jesteśmy mężami, jakimi nas urobiono w dzieciństwie i młodości — takiemi są matki, jakiemi ich wychowano w dzieciństwie i wieku panieńskiem. Jeżeli bierzemy cztery pory naszego żywota od kolebki do grobu, to możemy powiedzieć, że pora dziecięctwa i młodości są podwalinami owego życia, jakie nastąpi później — te cztery pory złożą dla nas ten dom żywota, jaki sobie wybuduje każdy na ziemi i weźmie go za grób, to też i dzieciństwo nasze jest pierwszą cegłą do tego domu, a tę cegłę wyrabia i wypala matka sama. Zastanawiając się nad życiem naszem, to dzieciństwa pora jest nijakością naszą, jest jakby zwierciadłem niebieskiem, ponad które przesuwa matka różne przedmioty światowe i pozaświatowe, a te się odbijaniem ciągłem wdrażają i ostro rysują na tle zwierciadła, i tam odbite pozostają. Młodości pora jest żywem drganiem myśli i rwaniem się serca; tu kiełkują te nasiona, które w dzieciństwie zasiane były przez matkę, i rosną żwawo i rączo, aby zakwitły i

owoc wydały — koniec młodości, to koniec kwiecia wonnego i różnobarwnego, naszych myśli i serca. Mężkości pora, to czas średni, jaki leży między dojrzeniem owoców a żniwem, to czas pracy, trudów, potu, wysileń, ofiar, poświęceń i t. d., a starość to gumna dworskie, albo próżne, albo pełne chleba gotowego i zebranego. Widzicie matki! jak ważną jest pora dzieciństwa, jak ważne te lata, miesiące, dnie, godziny i minuty, które przeżyją dziatki w domu pod waszą opieką! Tu każda godzina jest nitką, z której się złoży listek na przyszły kwiat charakteru dzieci, a każdy miesiąc jest gałązką, z których się złoży korona drzewa ich charakteru, a każdy roczek jest konarem, który się później opierać będzie burzom, albo też ugnie się za lada powiewem namiętnostki. Jak z cegiełek i ziarnek piasku i wapna wystawia powoli mularz gmachy, pałace i t. d., jak z drobnej latorośli wyprowadza ogrodnik, to krzewy, to kozły, to dęby i t. d. tak z drobniutkich czynności — czyto mimowolnych, czy nakazywanych dziecku w porze jego dziecięctwa, wyrabia się powoli charakter rozmaity. Fundamenta domu są ukryte, one budują się najpierwej i na nich stoi cały dom widzialny—otóż i lata dziecięctwa są takim ukrytym fundamentem, na nich stawia się przyszły charakter. Czem lepsze fundamenta, tem mocniejsze domostwo, czem lepiej dozorowane dziecię, tem pewniejszy jego charakter. Pierwsze latka dzieciątek, tych aniołków z czyściutkiemi skrzydełkami duszy, są pierwociem i zaraniem dla przyszłych jeniuszów, bohatyrów, tyranów lub dla idiotów, tchórzów i karłów! Po skończonym 7. roku — boć ten rok jest końcem dzieciństwa — gotowym przepowiedzieć każdemu waszemu synkowi i każdej córeczce ich przyszły charakter. Siedm latek, to tak jak siedm kart w ręku wróżbiarki — jak wróżbiarka odgadnie nieraz z tych 7miu kart waszą przyszłość, tak ja odgadnę przyszły charakter dziatek waszych, poświęcając na to dzień uwagi i spostrzegania.

(C. d. n.)

REJ z NAGŁOWIC.

(Ciąg dalszy.)

Potem się parał około króla, onego sławnego Zygmunta Augusta, który mu też był iście miłościwym panem, i dał mu był jurgielt na chełmskiem mycie, i wieś mu był dał, która była dziedziczna Mikołaja Odnowskiego, jedno iż była miała przypaść na króla *jure donatorio*, którą zanmo Dziwiąciele. A ten to Mikołaj Odnowski był mu bratem bliskim, i dał mu był swe prawo jeszcze za żywota swego, a był kasztelanem przemyskim i starostą lwowskim.

Potem tu w krakowskiej ziemi nad Nidą, założył był miasto przy Nagłowicach przezwiskiem herbu swego Osą, i nie mało był imienia tam potem przykupił.

Potem mu był dał Paweł Bystram brat jego bliski, bezpłodnym będąc, dwie wsi w lubelskiej ziemi, Podkowice i Skorczyce, i spuścił mu je był jeszcze za żywota swego.

Potem gdy przyszła prawda święta ewanielii pańskiej do Polski, która acz była też i przedtem ale barzo zawikłana, i pisał Postyllę polskim językiem, bo acz był nieuczony ale z czytania a ze zwyczaju tedy mu to już snadnie przychodziło, w której niczem nie allegował dla lepszej pewności, jedno starym a nowym zakonem, i wielu ludzi się było tą Postyllą wprawdzie obaczyło z onych dawnych zwykłych a zawikłanych nałogów starych. Pisał też przedtem katechizm dyalogiem, ludziom młodym potrzebny. Przełożył też psałterz Dawidów i z modlitwami, którzy też barzo radzi ludzie i czytali i śpiewali. Pisał też żywot i sprawy owego Józefa żydowskiego patryarchy cudnemi i ozdobnemi słowy, który też ludzie barzo radzi widzieli. Pisał też *Spectrum* albo nowy czyściec, aby się ludzie z starych błędów obaczyli. Pisał też pod figurą kupca, nadobną sprawę człowieka chrześciańskiego. Pisał też apokalipsim Jana świętego cudnym polskim językiem, z wykładem zacnego a uczonego doktora w piśmie świętem Henryka Bulingera. Pisał też książki nadobne o potopie Noego, dzisiejszym czasom barzo potrzebne a pożyteczne. Napisał też dla dworskich ludzi nadobne księgi: Wizerunek, z którego wiele każdy i nauczyć i obaczyć się mógł. Pisał też potem Zwierzyniec stanów szlacheckich, którzy natenczas żywi byli, poczciwie krótkiemi słowy, które tylko w ośmi wierszach zależały, ozdabiając. Pisał też dla białychgłów Zatargnienie fortuny z cnotą, z których snadnie mogły swym powinnościom zrozumieć. Pisał też dla dobrych towarzyszów dyalogi rozliczne: Kosterę z pijanicą, Warwasa z Dikasem, lwa z kotem, gęś z kurem. Pisał też zasię dla kmiotków, wójta z panem a plebanem, jako się też o swych doległościach rozmawiają. I wiele innych rzeczy pisał co ich poginęło, i księgi niemałe *de neutralibus* w Brześciu litewskiem i z impresorem utonęły.

A na ostatek już we wszystko się ochynąwszy, pisał księgi żywota człowieka poczciwego, rozdzielone na trzy wieki jego, to jest młody, średni i stary, jako się ma poczciwy człowiek na każdym stanie będąc, w swej powinności zachować. Napisał też narzekanie na nierząd Polski. Przytem apoftegmata rozmaite. Przemowę do poczciwego Polaka stanu rycerskiego. — Przytem też zbroję rycerza chrześciańskiego. Naostatek żegnanie z światem.

A wszakoż na żadnem piśmie swem ani się podpisać, ani swego imienia wspomnieć nie chciał; powiedał, iż się tego wstydał, iż był nieuczony, a miotał się prawie jakby z motyką na słońce. A co tych

pieśni i nabożnych i świeckich, wierszów rozlicznych, *epitaphia* ludziom poczciwym, także też i na herby ich, to temu i liczby nie było, bo mu to ze zwyczaju a natury tak snadnie przychodziło, że tego przez jedną noc napisał co chciał, bo we dnie nie mógł, iż był bardzo ludźmi zabawiony; panięta a ludzie młodzi zawżdy się około niego bawili, bo był człowiek poczciwy, zachowały, dworski, znajomy wszem, a byli nań ludzie zacni barzo łaskawi, a żadnego mieć stanu nie chciał, tylko był sobie żywot wolny a spokojny obrał, będąc *nemini molestus*, tak, że się nigdy nikt nie ozwał, ktoby był nań kiedy o co poskarżyć miał, sam się każdemu osądził i usprawiedliwił. Także sobie wszystko tuszył, iż się już w żadny inszy stan ani w żadne zawikłanie sprawy nigdy wdać nie miał, jedno, iż tak spokojnego a wolnego żywota swego używać miał. Bo acz to był pan z młodu barzo ciekawy a bezpieczny, a barzo mu światek smakował, ale już był potem skromny, trzeźwy, spokojny, tylko się już był na wszem na wolny żywot udał, a wszakoż co czas przyniósł, i rzeczypospolitej i przyjacielskiej posługi nigdy nie omieszkał. Tamże w tej Okszy, którą sobie fundował i kościół zbudował, powiadał, iż miał wolą swe kości położyć, Panu Bogu wszystko poruczywszy, tak jako o tem nadobnie w onych wierszoch rozmawiając się z światem, napisał. A toć była wszystka sprawa żywota, postępków i spraw tego poczciwego szlachcica polskiego.

(*C. d. n.*)

SONET.

Twa ręka pieśń miłosną uderza w klawisze,
Dusze dwojga kochanków razem się spływają —
Szczęśliwi! bo oboje wzajem się kochają.
Ty szydzisz, albo nie wiesz, że i ja cię słyszę?

Widzę to dobrze, czuję, że i twoja dusza
Nie obca akordowi, który miłość rodzi:
Drga łono, oddech szybki, oko mgłą zachodzi,
Serce za każdym taktem silniej się porusza.

Dziękuję ci!— W mą duszę wstąpiła pogoda;
Czas długi ona rzadko tak do mnie zagości;
Czuję, jak wielkie szczęście być kochanym, kochać.

Przeklinam cię! ty uczuć czarodziejko młoda!
Swą pieśnią budzisz we mnie pragnienie miłości,
A czyż każdy być może kochanym i kochać?

A. Bełcikowski

Rozmowa wieczorna.

Człowiek.

Świeżej wiosny natchniony kochanku,
Stróżu nocy, zwiastuniu poranku,
Ptaszku w gęstej zakryty krzewinie!
Zkąd ci piosnka ta cudowna płynie?

Słowik.

I ty pytasz mię o to człowieku?
Jak ja, równieś w młodzieńczym jest wieku,
Jak mnie, równie pieśń tobie przystoi,
Zkądże smutek w twarzy widać twojej?

Człowiek.

I ty pytasz mię o to ptaszyno?
Czyliż z piasku potoki popłyną?..
Swoję wiosnę straciłem zawcześnie,
Szczęścia nie znam — marzyłem je we śnie...

Słowik.

Oj zle robisz, źle bardzo młodzianie!
Otwórz serce, porzuć narzekanie,
Roznieć w duszy przygasłą nadzieję,
Będziesz śpiewał—choć ja oniemieję.

Człowiek.

O, nie słuszne twe ptaszku, wyrzuty!
Tyś do życia jest szczęściem przykuty,
Człowiek łączy się z Stwórcą!.. szczęśliwy ten, który
Tu modląc się, z oczyma wzniósł duszę do góry!

Wzrok mój, jak suchy badacz, dalej już spogląda,
I zedrzeć ze złudzenia jego maskę żąda,
Pyta się, co to było i w jakim sposobie,
Co duszę mą urokiem pociągło ku sobie;
Ale prawda zawiści nawet stawi czoło!
Choć długo wzrok badawczy wodziłem w około,
Nie znikało wrażenie — silne jak te mury,
Wśród których oddechałem, swój obraz ponury
I wzniòślszy coraz więcej w duszę mą wciskało.

Kilka słów przy ołtarzu bladem światłem tlało,
Kilka innych, uboższych, przez pobożną rękę
Ubogich i maluczkich Bogu na podziękę
I cześć, porozsiewanych po całym kościele
Światła w wielkiej przestrzeni dawały nie wiele;
Tak, że wszędzie gdzie spojrzysz—nie jak zwykle bywa,
Świato się z cienia, nie cień ze światła dobywa.

Tu na ścianach pokrytych ciemnosci falami,
Wznoszą się, gdyby widma nad swemi grobami,
W swych śmiertelnych koszulach, pasma wąskie, długie
Mrocznego światła — jedno nie zważa na drugie,
Tylko wzrok swój utkwiony wciąż przed siebie trzyma,
Patrzą się — ale trupów martwemi oczyma.

Posuwam wzrok swój wyżej — znika ułudzenie,
Lub raczej inne na się przybiera odzienie.
Tam w górze jeszcze ciemniej — pomiędzy arkady
I najlepszemu oku wszelkie nikną ślady,
I tylko łuk wygięty co w śmiałem sklepieniu
Idzie spocząć na brata swojego ramieniu,
Co przeciw niemu stojąc, równą wiedzion chęcią
Wspólną miłość całunku uświęca pieczęcią,
Odrywa się od cieniów i jak jasna fala
Z sinych głębin powstała, znów w cień się przewala,
I ciągnie oczy twoje coraz więcej w górę
Za sobą, gdzie sklepienie zaległo ponure,
Które teraz okryte pomroki żałobą,
Straciwszy czystość linij, zawisło nad tobą
Jak liść ogromny, w wielkie zgnieciony przeguby,
Na którym siatką pomrok rozwija się gruby.

(Dok. nast.)

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

IV.

Wyznanie.

(Ciąg dalszy.)

Kapitan podniósł się, porwał Madelinę za rękę, uścisnął gorąco, i rzekł do niej:

— Madelino droga!.. jam winny!.. bardzo winny!..

— Ty kapitanie winny?.. to być nie może.

— Ja stary wstydzić się muszę przed tobą młodą.

Chory spuścił głowę z wyrazem boleści, i wpadł w zamyślenie.

— Kapitanie!.. mężu drogi!.. przerwała Madelina głosem serdecznym. Mówiłeś o kroplach!.. Zlituj się!.. powiedz gdzie są!.. zażyj!..

— Dobre poczciwe dziecko!.. posłuchaj mnie!.. opowiadanie moje długo trwać nie będzie!.. a potem!.. potem!.. wydasz wyrok...

— Ty nie znasz Madelino przeszłości mojej całej!.. nie raz ci tylko drobne opowiadałem szczegóły, bo i pocóż miałem młody twój umysł obarczać ciężarem tych smutnych myśli, doświadczeń ciężkich, i uczuć bolesnych, jakie nagromadziłem przez życie moje. Są ludzie moja droga Madelino, o których nie darmo mówią, że się pod nieszczęśliwą porodzili gwiazdą!.. To są ludzie prawdziwie wybrani, bo Opatrzność dała im hojną ręką to, co jest zarazem skarbem i ciężarem największym. Jest tem uczucie!.. O, stokroć szczęśliwy, kto może żyć i ginąć w tłumie nie różniący się od niego ni myślą ni sercem. Przeżyje dnie jednostajne bez tęsknoty za *wczoraj*, bez nadziei na *jutro*, w spokojnem dzisiaj, nie mając ni marzeń, ni cudnych wyobraźni złudzeń. On spał snem zdrowym, spokojnym, bez wszelkich marzeń ciężkich!.. Zasnął w kolebce, by się aż w trumnie obudzić!. Nademną moja Madelino wisiał ten fatalizm od urodzenia, fatalizm przeznaczonego mi wieńca cierniowego!

Madelina żywo poruszona słowami kapitana, które tem silniejsze czyniły wrażenie, że im towarzyszył głos jeszcze osłabiony i spojrzenie wciśnięte w nią z wyrazem niewymownej czułości — porwała chorego za rękę i przycisnęła do piersi.

— Dobra jesteś Madelino!.. dzięki tobie!.. ale słuchaj dalej... bo czas ubiega szybko!..

Tu spojrzał na zegar, i zdało się Madelinie, że pobladł i zadrżał.

— Jeszcze pół godziny tylko!.. potem będzie za późno!.. te krople tylko!..

— Co mówisz?.. za późno?.. zakrzyknęła Madelina z przerażeniem.

— Nic to!.. słuchaj tylko. Już małem dzieckiem straciłem matkę! zostałem sierotą. Matki nie pamiętałem prawie, i tylko mi czasem przychodziła do myśli, jakby snu błogiego wspomnienie. I wówczas zdało mi się, że czuję na czole gorące przyciśnienie ust matczynych, i to miękkie przemknienie po twarzy, pieszczącej ręki matczynej. Wspomnienia te były dla mnie większem tylko udręczeniem, bo zbudzony z miłego marzenia, nadaremnie wyciągałem ręce do uścisku!. nadaremnie!. Ściskałem zimne otoczenie moje, jak gdybym lód do gorącej cisnął piersi!.. Tak przeszło dzieciństwo moje!. ten wiek człowieka najszczęśliwszy i najswobodnieszy!..

— Ależ ojciec?.. przerwała Madelina, która w tej chwili przypomniała sobie to gorące przywiązanie własnego ojca stokroć goręcsze od matczynego.

— Mój ojciec, to był człowiek głowy!.. mądrej ale zimnej głowy!.. on kochał mnie, kochał mocno jako jedynego potomka imienia swego!.. spadkobiercę nazwiska, zaszczytnie zapisanego tam gdzieś po starych herbarzach!.. On mnie kochał tak mocno, że chciał koniecznie, abym był szczęśliwym szczęściem takiem, jakie on rozumiał. I by mnie w ten sposób uszczęśliwić, robił wszystko co mógł. Otoczył mnie i ludźmi mądremi i księgami mądremi, a starał się o to, by jak jedne tak i drugie były zimne. I sam nie szczędził mi nauk i napomnień najdoskonalszych. Sto razy na dzień i przy każdej sposobności powtarzał mi,

że do szczęścia prócz zalet fizycznych, które przecie koniecznym nie są warunkiem, potrzeba urodzenia, mienia i znaczenia. „Wszystko inne, to tylko bańki mydlane!.. powiadał mi z uśmiechem światowca; piękne to ale puste!.. pękną i nie ma nic!.. Bądź brzydki a nawet głupi, ale miej herb, złoto i tytuł, a będziesz szanowany. Jeżeli cię każę uczyć różnych rzeczy, to nie dla tego, abym ja do tego wiele wagi przykładał, ale że świat przykładać do tego zaczyna jakieś tam znaczenie, chcę abyś i tę miał wyższość!. Chcę, abyś więcej od drugich wiedział, abyś mógł drwić z głupich i spożytkować ich na własną korzyść.“

— I to ojciec mówił?. zawołała Madelina, którą słowa kapitana zajmować zaczynały.

— Ojciec rodzony!.. odrzekł kapitan z bolesnem szyderstwem. „A serce!. jam go pytał drżący, głosem błagającym. „Serce?.“ odpowiadał mi drwiąco: „serce, jeżeli się spytasz medyków, jest tam gdzieś w piersi jakiś zbiór nerwów, czy jakiś czynnik organizacyjny do cyrkulacyi krwi potrzebny!“ — „Ale serce!.. co drży uczuciem, serce co kocha?.. pytałem dalej przerażony. „Serce w tem znaczeniu, o jakiem mówisz, powiadał ojciec, jest to wymysł gołych poetów, którzy nic nie mając innego, wymyślili sobie serce, aby niem durzyć słabe kobiety i tych wszystkich serdecznych durniów, co się kręcą po świecie bez znaczenia i bez butów!.“

— A to okropnie!.. przerwała Madelina.

— Okropnie!.. tak jest moja Madelino!.. lecz spieszmy się!.. odrzekł, i dziwnym wyrazem spojrzał na niewstrzymanie posuwającą się skazówkę zegara.

Madelina poszła za jego spojrzeniem, i zadrżała przestraszona.

— Mężu!.. jeżeli mnie kochasz!. zaczęła i urwała widząc palec kapitana do ust przyłożony.

— Wystarczy czasu jeszcze!. słuchaj tylko. Takie było dzieciństwo moje, taka była młodość moja!.. Fatalizmem życia mego było pragnienie miłości, które oparło się naukom ksiąg zimnych i zimniejszego nad nie ojca. Mój ojciec umarł i zostawił mi w puściźnie, jakby na wyszydzenie własnych nauk, majątek nadwerężony życiem wystawnem, jakie prowadził. Dbając całe życie o znaczenie tylko, żył nad możność i zostawił długi. By oczyścić pamięć jego, musiałem wziąść się do interesów, i część młodości mojej musiałem przepędzić wśród zimnych rachunków i stokroć zimniejszych ludzi, którzy korzystali z gorącego usposobienia mego, aby mnie obedrzeć. Nie dbałem o to, bom chciał być co prędzej wolny. I zostałem nim, wyrzuciwszy przez okno całe prawie mienie moje, aby się co prędzej oswobodzić. Z wielkiego niegdyś majątku zostały mi okruszyny. Nie dbałem o to, bo czułem w sobie siłę do pracy. Odetchnąłem swobodniejszy, i wyszedłem w świat gotowy do wszelkich poświęceń!.. Wyszedłem w świat z otwartemi ramiony, pewien, że w gorącym uścisku moim zdołam rozegrzać choćby jedną istotę, coby mnie kochała tą miłością, jakiej pragnąłem, i którą sam dać byłem gotów. Cóż myślisz Madelino?..

— Znalazłeś!.. musiałeś znaleźć!..

— Nie znalazłem!.. Jak w onej bajce mitologicznej ściskałem zimne mgły!.. Rzucałem uczucie pełnemi garściami, a zbierałem zdradę!..

— I ani jedno uczucie?..

— Ani jedno prawdziwe!.. O! kłamanych uczuć zdybywałem mnóstwo na każdym kroku. Długobym ci musiał opowiadać długie i smutne dzieje mojego żywota. Znudziłbym cię, i czasuby mi zabrakło!.. Skazówka posuwa się bez litości!. Daruj, jeżeli w rozerwanem opowiadaniu mojem nie dasz sobie rady. Mimo wieku mego i doświadczeń, któreby powinny były zbrzydzić to życie, odzywa się i we mnie to śmieszne przywiązanie do życia, którego pozbyć się nie może żaden nędzarz nawet. Znałem paralityka, co już ledwie bełkotał, a bełkotał ustami w pół martwemi błagalne prośby, choćby o jednę jeszcze godzinę życia... I ja jestem ten paralityk!.. i drżę przed tą skazówką, na której przykute jest życie lub śmierć!..

— Mów!.. kończ!.. zlituj się, bo mnie zastraszasz!.

— Jedno ci tylko opowiem zdarzenie, bo z niem łączy się dziwnie chwila dzisiejsza. Byłem jeszcze młody!.. nie było na twarzy mojej tych znaków starości, które robią człowieka wyjętym z pod prawa zwykłego. Bo jak ci raz zakrzykną: „Stary!.“ już na cię wydano wyrok niecofniony!. Już ci odebrano wszystkie przywileje życia!.. już cię na zawsze w kąt usunięto, jakby sprzęt stary i zużyty!. Już ci nie wolno żyć życiem drugich, już ci zabronione wszelkie uczucie!.. Młode pokolenia przechodzą koło ciebie, jakby koło martwej mogiły przeszłości!.. i zimnym palcem wskazując, mówić będą: „To było!.. i już nie jest!..“ Stary jeżeli poważy się jeszcze żywem drgać uczuciem, to jakby żywcem pogrzebany!..

— Owóż byłem młody, mówił dalej po chwili odpoczynku; i kochałem!.. Kochałem młodą dziewczynę, sierotę biedną. Spojrzawszy na jej twarz słodką, na oczów spojrzenie potulne, trzeba było wierzyć w aniołów. Zdybałem ją, jak ciebie prawie w chwili życia stanowczej, i zbieg okoliczności zrobił, że mogłem stać się jej pożytecznym. To było dziecko starego sługi mojej rodziny, któremu udało się z rozbicia majątkowego wynieść niezłe mienie, które stracił później. Ale dziecko było dobrze i skromnie wychowane w wiejskiem zaciszu!.. prawdziwa polska dzieweczka z szlacheckiego dworku. Taką mi się wydała, taką pokochałem, pełną, gorącą i namiętną miłością. Usłyszałem z jej ust to słowo cudne: „Kocham cię!“ i jakże byłem szczęśliwy!.. Zapomniane już były dawne udręczenia, zapomniane przykre doświadczenia!..

„Kocham cię!.. powiedziała Helenka głosem tak czułym, i spojrzeniem tak czystem, że serce moje przepełniło się radością bez zmiany. Przemarzyłem cu-

dnych kilka chwil!.. Już był dzień ślubu naznaczony!. I marzyliśmy we dwoje o przyszłości tak pięknej, jaką tylko utworzyć może wyobraźnia poety lub zakochanego. Byłem wówczas bardzo szczęśliwy!.. bo miałem także przyjaciela!.. towarzysza broni, z którym razem walczyłem w szeregach naszych w onej chwili świetnych nadziei, które przemknęły łyskawicą.

To mówiąc, zatrzymał się i spojrzał znowu na zegar.

— Zlituj się mów!.. kończ!.. zagadła Madelina.

— A więc kończę!.. to było wszystko fałszem moja Madelino!. fałszem straszliwym. Pomiędzy znajomemi memi był stary lekarz, dziwak jakich mało, który wiele podróżował, i długi czas bawił na wschodzie, zkąd jak sam mówił, rozmaite wywiózł tajemnice. Był on mizantropem w mowie, a w głębi najlepszym człowiekiem. Świadczył wiele dobrego, ale w nic dobrego nie wierzył. „Ludzie są przeważnie źli" powtarzał zawsze. Odkąd pokochałem Helenkę unikałem go, bo rozmowa z nim chociaż zajmująca i nauczająca, była nad wszelki wyraz przykrą dla mnie, przez ten przycisk szyderczy i wątpliwy, z jakim zawsze zapatrywał się na wszystkie uczucia ludzkie. Ale on coraz częściej przychodził do mnie, i rzucał nieraz takie jakieś dziwne słowa, które mnie oburzały do najwyższego stopnia. Były to zapewne same tylko wyrazy ogólne o wierności i stałości kobiet, ale wymawiane z takim przyciskiem, że mnie mrowie przechodziło. Raz zniecierpliwiony i rozdrażniony, powiedziałem mu: „Jużciż o Helenie tego powiedzieć nie możesz!" „A gdyby?." odrzekł z uśmiechem szatańskim. „Milcz!.. krzyknąłem. „Helena mnie kocha!." „Jak wszystkie kobiety!. ona chce być żoną twoją." „Rzuciłem się na mówiącego jak wściekły. On wyszedł, powiedziawszy mi zimno: „Przekonasz się; byle nie za późno!.. Zadrżałem, i...

— I cóż?..

— I przekonałem się!.. czego czy nie wiedział, czy nie chciał powiedzieć szyderczy lekarz, to odkrył wypadek. Byłem oszukany!.. okropnie oszukany!.. Mój przyjaciel od serca, Ernest był kochankiem Heleny; ale że ja miałem więcej majątku od niego, chciała zostać moją żoną.

— Ha!.. to jest okropne!..

— Prawda Madelino, że okropne!.. Czyliż nie można zwątpić o ludziach i o wszelkiem uczuciu?.. Ja nie zwątpiłem, ale srodze przecierpiałem to straszne odczarowanie.

— I cóż Helena na to?..

— Nie będę ci moja Madelino powtarzał, co niewierna mówiła. Płakała, przysięgała!.. w żywe oczy kłam zadawała. Lecz to się już stało!.. Spieszyć muszę moja Madelino. Lekarz stary pocieszał mnie. Gdym się już nieco zaspokoił, pytałem go nie raz, czy już nie ma żadnego sposobu przekonania się o prawdzie uczucia. „Chyba po śmierci!" odpowiedział szatański szyderca. Pytałem, co przez to rozumiał. Mówił mi na to rozmaite znane mniej więcej teorye, a w końcu rzekł mi zimno ale bez szyderstwa, a nawet zdało mi się, że widziałem łyskawicę uczucia w jego burem oku. „Wiesz co!.. o teraz już nie ma co mówić. O Helenie trzeba zapomnieć!.. i jeżeli masz rozum, unikać odtąd będziesz wszelkiej sposobności, w którejbyś się mógł wystawić na podobne niebezpieczeństwo, lub na niebezpieczną próbę przekonania się o prawdzie uczucia w kobiecie, co ci powie, że kocha!.. Najlepiej nie kochać!.. „A jeżeli przecie..." „Jeżeli?." odrzekł mi z politowaniem po pewnym namyśle; jeżeli!.. „w takim razie możebym miał środek jeden!.. Ale powiadam ci najprzód, że to środek niebezpieczny, z którym igrać nie można!. „Daruj mi go!" zawołałem. I dał mi ten środek!.. okropny w rzeczy samej!. środek, którego imać się, jak dobrze powiedział, szaleństwem jest prawie. Zadrżałem, usłyszawszy go, ale wziąłem, przysiągłszy wszakże, że tylko w ostatecznym użyję go razie.

— A ten środek?..

Kapitan nic nie odpowiedział w pierwszej chwili, tylko spojrzał na skazówkę zegara.

— Madelino!.. czas uchodzi!.. słuchaj!.. ja skończę moje wyznanie.

(C. d. n.)

WIANKI.

Czy widziałyście kiedy — zacne za-krakowskie Czytelniczki, wianki puszczane na Wisłę w starym naszym grodzie?

Od niepamiętnych czasów jest zwyczaj w Krakowie — mieście tak nabożnem i w świątynie bogatem, że go małym Rzymem nazwano — że w wilią Śgo Jana Chrzciciela puszczają dziewczęta wianki na Wisłę, dla poznania przyszłego swego towarzysza życia; mężczyzna bowiem, ułowiwszy taki wianeczek, staje się *niezawodnie* mężem tej, której wianek jest własnością. *)

---

*) Wilią Śgo Jana oprócz tego, święcą w Polsce równie jak i w niektórych okolicach Niemiec jeszcze innym sposobem. — Lud wiejski, zwykle pasterze, zakładają wielkie ogniska i skaczą przez nie — U dawnych Rzymian obchodzono podobne uroczystości na cześć Westy, zakładano ogniska i tańczono w około nich. — W pierwszych czasach chrześciańskich chciano tym sposobem złego ducha oddalić. Sobótka, góra na Szląsku położona, 2246 stóp wysoka, jest prawdopodobnie miejscem, zkąd zwyczaj ten wyszedł w świat. Na jej szczycie stała niegdyś warownia *Asci* zamieniona roku 1108 na klasztor Augustyanów. Roku 1702 fundował tamże *Jan Sivert* opat Augustyanów w Wrocławiu kaplicę, na cześć

Piękny to jest widok.— Otóż radbym opisał, com widział.

Ósma godzina wieczór, dzień trochę chmurny, deszczu spodziewać się pozwala, nie wstrzyma atoli dziewic od brania udziału w tej uroczystości; ze wszystkich więc stron spieszą w towarzystwie matek i kawalerów, wszystkie wystrojone na tę uroczystość; wszędzie widać twarze wesołe, rozpromienione, śmiejące się— a przecież przebija się w nich jakaś ciekawość, jakaś niecierpliwość: Czy też złapie kto mego wianka? Kto też go złapie? czy ładny, przyjemny, czy godzien tego szczęścia? Chłopcy zaś niecierpliwi— nie mogą doczekać chwili, w której okaże się pierwszy wianek na wodzie, by go czemprędzej ułowić, by zajrzeć do jego wnętrza, czy nie ukryta tam kartka mieszcząca nazwisko, a przynajmniej imie tej, której jest przeznaczonym.

Tłumy ludu oblegają oba brzegi rzeki tak, że przecisnąć się niepodobna. Księżyc wydobywa się na chwilkę z poza chmur, promienie jego padają na zamek, na Wawel— niegdyś siedzibę królów— padają na twarze śmiejące, wesołe, niecierpliwe; gwar, ruch panuje wielki—w oddali wydaje się, jakby szum fali morskich, rozbijających się o skały; tu widać troskliwą matkę z córką ładną jak anioł, bogato wystrojone, błyszczące blaskiem drogich kamieni i jedwabnych materyj, tam na ustroniu dwie biedno ale czysto ubrane dziewczęta, żyjące z pracy rąk uczciwie—tamte wyszły bo nie muszą pracować, bo mają czasu dosyć, te—bo pracowały cały boży dzień pilnie i chcą odpocząć, czemużby zresztą one nie miały spróbować szczęścia i wybadać los i przyszłość? dalej widać przekupkę ustrojoną w kapelusz duży słomkowy, z ogromną kresą chroniącą od słońca i deszczu; obok elegant w tużurku francuskim lub bluzce angielskiej z szkiełkiem w oku i szpicrutem w ręku a czapeczką francuzką na głowie; dalej stary kawaler z peruką na głowie, z wyczernionym wąsem, w lakierowanych bucikach, a z cieniutką laseczką rogową o srebrnej gałce w ręce. Lud wiejski, wojsko — wszystko to zmięszane, zagmatwane, stłumione tak, że nie małej pracy potrzebaby do rozgatunkowania wszystkich warstw. A wszystko to się rusza, gada, krzyczy, hałas je. Pomiędzy tych wszystkich przedzierają się chłopcy, zwykle biedni, często obdarci, każdy jeden i więcej wianuszków ma w ręce, chodzi pomiędzy ludzi, zachwala swój towar, prosi, by kupowano.

N. P. Maryi, w której rokrocznie odprawiało się uroczyste nabożeństwo przy licznem zgromadzeniu pobożnych, i która 1834 piorunem trafiona, zgorzała.—Sobótka (góra) jest także barometrem dla okolicznych mieszkańców: bo— gdy szczyt chmurami zakryty— niezawodny deszcz; zaś jasno-niebieski i słońcem oświecony— pewną pogodę rokuje.

Wśród tego krzyku, hałasu, doleci czasem urwanych kilka tonów muzyki, umieszczonej na galarze na środku Wisły stojącym, ustrojonym w kwiaty i girlandy, jak panna młoda idąca do ślubu.

Coraz się zciemnia więcej—już tak ciemno, że ledwo rozpoznać można twarze osób najbliżej stojących — w tem pada strzał, odbija się dziesięćkrotnie od murów Wawelu, pierwsza raca idzie w górę — pęka i rozdziela się na tysiące drobnych gwiazd, spadających deszczem ogniowym — ogień bengalski się zapala i oświeca całą scenę światłem tajemniczem— bladem. Jest to hasło do puszczania wianków na wodę. Jednej chwili widzisz już niezliczone wianki z róż, niezapominajek, lewkonij, rozety i t. d. na deszczułce przymocowane; płyną po wodzie, oświecone świeczkami woskowemi, powoli, poważnie.—Młodzi chłopcy skaczą do łódek, biorą się do wioseł, lecą, by czemprędzej złapać jaki wianuszek— leci a leci, już dobiega mety, już wyciąga rękę, by go złapać — lotem błyskawicy nadlatuje drugie czółno, uderza przodem o boki pierwszego, usuwa go z drogi, a dzielny wioślarz z tryumfem na twarzy sięga poń—ale niestety! wianek z pokrzywy uwity kłuje—piecze go, upuszcza go i zawstydzony uchodzi w inną stronę, by się usunąć śmiechowi na brzegach stojących widzów.

Zdarza się czasem, że wleci który z szermierzy do wody i ochłodzi zimną wodą zapał swój gorący. Śmiech wtedy głośny rozlega się daleko, a biedny, zmoknięty chłopiec ucieka do domu, by się przebrać i osuszyć.

Sztuczne ognie ciągle trwają, przedstawiają, to młynki, to bukiety, to znowu z wody bucha jakby z wulkanu deszcz ognisty. — Szczęśliwi, którym się udało złowić jaki wianek, cieszą się zdobyczą, mniej szczęśliwi pocieszają się nadzieją, że dla nich jeszcze zapewne czas, że na przyszły Śty Jan będą szczęśliwsi.

Zabawa trwa do 11. a czasem i dłużej, nareszcie rozchodzą się do domu a jeszcze przez długi czas wieczór ten jest przedmiotem długich rozmów.

Tego roku nie było tak wesoło; muzyki nie było, wianków mało się pokazało, a i łowiących je, mało było; wesołości nie było, można było nawet na niejednem oku niebieskiem, smętnem, dostrzedz drżącą łezkę uwisłą u powieki— i nie dziwić się temu.— Radość była przytłumiona; wszystkich oczy bowiem zwrócone były na młodych ludzi, pozbawionych wolności i umieszczonych w zamku krakowskim, gdzie dawniej wolność miała swe źródło i siedzibę.

Miejmy nadzieję, że się to jeszcze zmieni, że nastaną lepsze czasy, a przyszły Śty Jan zobaczy nas tak wesołych, jakiemi nas widział za owych czasów dobrych....

Maurycy K....

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny.— Nakład Redakcyi.— Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie.